

REVELATIONS





LITERATURA
GÓRSKA
NA ŚWIECIE

REVELATIONS



JERRY MOFFATT

NIALL GRIMES

PRZEŁOŻYŁA
ANNA GOŁĘBIEWSKA



Tytuł oryginału
Revelations

Redaktor serii
Agnieszka Rachwał-Chybowska

Redakcja
Karolina Ośka

Przypisy
Anna Gołębiowska, Karolina Ośka

Projekt okładki, typografia i DTP
Wojciech Grzegorzycza

Zdjęcia: Carl Chambers, Gerd Heidorn, Greg Lucas, Heinz Zak, Ian Smith, John Bachar, Keith Jones, Kurt Albert, Marco Troussier, Masanori Hoshina, Neil Foster, Paul Hill, Roland Dare, Roland Foster, Sarah Dickson, Steve Lewis, Thomas Ballenberger, Tim Moffatt oraz z archiwum Jerry'ego Moffatta i Chrisa Gore.
Ilustracje na str. 300: Simon Norris, Vertebrate Graphics

Biogramy wszystkich wymienionych w książce wspinaczy można znaleźć w *Wielkiej Encyklopedii Gór i Alpinizmu*, tom VI: *Łudzie gór*, pod red. Małgorzaty i Jana Kiełkowskich (Stapis 2013), a dodatkowe informacje także na stronie www.wspinanie.pl. Przypisami opartymi na ww. źródłach zostały opatrzone jedynie najważniejsze, zdaniem redakcji, postaci, a szczególnie te, które środowisko wspinaczkowe utraciło po premierze *Revelations* w Wielkiej Brytanii w styczniu 2009 roku.

Książka ukazała się przy współudziale Fundacji Wspierania Inicjatyw Twórczych i Naukowych FOSTER.



ISBN: 978-83-7967-082-6

This Work was originally published in 2009 by Vertebrate Publishing, an imprint of Vertebrate Graphics Ltd, Crescent House, 228 Psalter Lane, Sheffield, S11 8UT, UK, under the title *Revelations* by Jerry Moffatt (with Niall Grimes).

Copyright © Vertebrate Publishing
Copyright © for the Polish translation by Anna Gołębiowska, 2018
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Stapis, 2018

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty. Szanujmy cudzą własność i prawo. Więcej na www.legalnakultura.pl

Polska Izba Książki
prawolubni

Wydawca:
Wydawnictwo STAPIS
ul. Floriana 2a,
40-288 Katowice,
tel. +48/32/2597574; www.stapis.com.pl

*Dla Toby'ego, Wolfganga, Andrew, Noddy'ego i przyjaciół,
którzy zbyt szybko i w tragicznych okolicznościach stracili życie.*

PROLOG. CAŁKIEM SAM

Jest lato 1983 roku. Mam dwadzieścia lat i stoję sam przy skraju jezdni. Nad pięknymi górami Snowdonii w Północnej Walii praży oślepiające słońce. Przełęcz Llanberies tworzy wyraźne, przypominające wijącego się węża obniżenie w zboczach Snowdonu. Zewsząd otoczona jest najwspanialszymi, naznaczonymi historią tej krainy zerwami: Dinas Mot, Carreg Wastad, Clogwyn y Grochan, Cyrn Las. Najwybitniejsza z nich rozpościera się nade mną, dominując na niebie na przestrzeni niemal pół kilometra – górujące ponad stromym wzgórzem skaliste wypiętrzenie Dinas Cromlech. Dwie potężne, czarne ściany wysokości niemal pięćdziesięciu metrów stanowią serce tej formacji i układają się w kształt otwartej książki. To właśnie tutaj najlepsi wspinacze ostatniego stulecia dokonywali najwspanialszych przejść.

Spoglądam w górę. W środku tygodnia nie ma tu żywej duszy. Dostrzegam jedynie dwóch wspinaczy rozpoczynających długą, prostą drogę w najbardziej spękanej części ściany, po jej lewej stronie. Podnoszę plecak, ciężki od upchniętych do niego lin, sprzętu, butów do wspinaczki, nieodłącznego woreczka na magnezję i uprzęży, i zaczynam męczący marsz pod urwisko.

Wiem, co się szykuje, ale ukrywam to nawet przed samym sobą.

Obiecałem sobie więcej tego nie robić. Postanowiłem na jakiś czas odpuścić. Raptem wczoraj stoczyłem wygraną bitwę na jednej z najsłynniejszych, dotychczas dziewiczych płyt skalnych w tym rejonie – *Master's Wall* na Clogwyn Du'r Arddu. Byłem tak bliski śmierci, że przyrzekłem sobie przez dłuższy czas nie próbować niczego równie niebezpiecznego. Dlatego dzisiaj muszę

udawać. Wmawiam sobie, że chcę tylko poprowadzić kilka nieznaczących dróg. Podejdę pod ścianę i znajdę tam kogoś, kto szwenda się samopas i ma ochotę na wspinanie. Stworzymy ze sobą i spędzimy razem czas, na zmianę prowadząc drogi. To będzie bardzo sympatyczny dzień.

Niemal w to uwierzywszy, podchodzę zgrzany i spocony pod charakterystyczne zacięcie Dinas Cromlech. Jest pusto. To było pewne, ale... jestem tutaj, gotowy do walki. Stojąc dokładnie pośrodku ogromnego, czarnego zacięcia, patrzę na znajome drogi, gdzie pokonywałem kolejne etapy wspinaczkowego wtajemniczenia, wyznaczające postęp w moim wspinaniu. W tych liniach, wraz ze wzrastającymi trudnościami, zapisana jest opowieść o tym, jak budo-wałem siłę i doświadczenie. Widzę stąd *Cemetery Gates*, eksponowaną rysę autorstwa Joego Browna i Dona Whillansa wycenioną na E1¹, biegnącą aż do górnej krawędzi prawego skraju ściany. Zakładam znoszone buty, zawiązuję woreczek z magnezją, zostawiam ciężkie liny i sprzęt. Ubrany tylko w szorty pokonuję długą, pionową linię. Zabiera mi to nie więcej niż pięć minut. To niesamowite uczucie – wspiąć się w zupełnej samotności, z wszechogarniającym poczuciem nieograniczonej przestrzeni i wolności; z myślami skupionymi tylko i wyłącznie na wspinaczkę. Zarówno poczucie zagrożenia, jak i potrzebę bezpieczeństwa zostawiłem gdzieś daleko na dole, pod sobą. Tuż przed końcem drogi zwieszam się na dwóch dobrych chwytach i spoglądam w pustkę pod stopami, a potem na drogę gdzieś w oddali i pozwalam sobie to wszystko chłonąć. Ach, co za miejsce!

Ze szczytu ściany schodzę sąsiednią drogą, *Ivy Sepulchre*. Trzy lata temu zaliczyłem na niej pierwsze prowadzenie o takich trudnościach². I gdy bez asekuracji, solo, pokonuję jej najbardziej wymagające miejsce, powracają do mnie wspomnienia walki stoczonej tamtego pamiętnego dnia. Wkrótce jestem znów u podstawy ściany. Naprzeciw drogi *Cemetery Gates* wąska ryska przecina niemal pozbawioną rzeźby skałę. To tak zwana *Lewa Ściana (Left Wall)*, wyceniona na E2. Poprowadziłem ją dwa lata temu, walcząc w trakcie przejścia z osadzaniem metalowych haków. Wpinałem w nie karabinki i przepinałem linę. Jej zadaniem było wyłapanie³ potencjalnego lotu, gdybym odpadł w trakcie wspinaczki. Dziś, klinując w rysce jedynie opuszki

1 E1 to stopień trudności drogi w skali brytyjskiej. Wyceny brytyjskie składają się z dwóch członów, np. E2 5c. Pierwszy odpowiada za ogólny, całościowy odbiór trudności drogi, na który składają się czynniki takie jak: wysiłek fizyczny, powaga, jakość asekuracji, jakość skały, ekspozycja. Rosnącym trudnościom odpowiadają określenia i ich skróty: Easy (E), Moderate (M), Difficult (D), Hard Diff (HD), Very Difficult (VD), Hard Very Difficult (HVD), Severe (S), Hard Severe (HS), Very Severe (VS), Hard Very Severe (HVS), Extremely Severe (E1, E2 itd.). Druga część wyceny, mimo że przypomina skałę francuską, nie ma z nią nic wspólnego. Z założenia ma określać najtrudniejszy ruch na drodze. Nieważne, czy jest on jednym z dziesięciu innych, równie trudnych, czy jedynym tak trudnym, i to niezależnie od asekuracji. Zazwyczaj oba te człony są w pewnym stopniu powiązane. Na przykład HVS 5a, E1 5b, E2 5c – to typowe połączenia. Jeśli drugi człon jest wyższy, sugeruje to, że ruchy będą trudniejsze, jednak asekuracja lepsza (E2 6b). Analogicznie, jeśli znacząco odbiega on w dół (E2 5a), należy się spodziewać gorszej asekuracji/jakości skały/trudności mentalnych (zob. K. Ośka, *Północna Walia – serce brytyjskiego tradu* [dostęp: 5.06.2018], <<http://8a.pl/8academy/polnocna-walia-serce-brytyjskiego-tradu/>>). Tłumaczka zdecydowała się na pozostawienie w tekście (w większości przypadków) oryginalnych wycen stosowanych w skali brytyjskiej, z uwagi na liczne opinie osób mających styczność ze wspinaniem w Wielkiej Brytanii, że jednak ta skala jest specyficzna, jedyna w swoim rodzaju i mimo istniejących odpowiedników – nieprzekładalna. W niektórych miejscach, by móc przybliżyć Czytelnikowi realną trudność pokonywanej linii, w przypadkach występuje porównanie do skali Kurtyki.

2 Mowa tu o trudnościach HVS (Hard Very Severe) – odpowiednik drogi o trudności VI- w skali Kurtyki.

3 Wyłapanie lotu na linie (żargon środowiskowy) – użycie liny do asekuracji z wykorzystaniem jej właściwości dynamicznych.

palców i stając czubkiem buta na tarcie⁴ na skale, z łatwością przechodzę i tę drogę. Błyskawicznie schodząc, zadzieram głowę, żeby zobaczyć, że dwaj wspinacze, których wypatrzyłem wcześniej, nadal tkwią w ścianie, na tej samej, dość łatwej linii⁵. Wyobrażam sobie, jak cieszą się nią w promieniach słońca. Znalazłszy się znów na ziemi, przechodzę na żywca⁶ *Cenotaph Corner*, jedną z najlepszych linii wytyczonych przez Browna. Biegnie na wprost w zacięciu. Nigdy wcześniej jej nie robiłem, a względnie niska wycena w skali trudności nie zmienia faktu, że zmierzenie się z nią bez asekuracji jest naprawdę karkołomnym wyczynem. Trzydzieści metrów nad ziemią muszę pokonać czujną⁷ sekwencję najbardziej wyťažających ruchów na drodze i wyprzeć się całym ciałem z obłej, śliskiej w dotyku skały, bo w zasięgu brak jakichkolwiek dobrych chwytów. Ale sam impet wykonywanego ruchu utrzymuje mnie w ścianie.

Jestem rozgorączkowany. To jeden z tych niezapomnianych dni, kiedy wszystko układa się w całość: odpowiednie miejsce, sytuacja oraz pogoda współgrająca z właściwą drogą, sprawnością fizyczną, pragnieniem pokonania wyzwania i stanem umysłu. Bez liny i asekuracji, które mogłyby mnie ocalić, pojedynczy błąd – drobna pomyłka w ocenie ryzyka – oznacza śmierć. Ale dziś nic nie jest w stanie mnie zatrzymać, niezależnie od poziomu reprezentowanych trudności. Zamiast czuć, że walczę o życie, wiem, że to moje przeznaczenie.

Memory Lane na lewej krawędzi lewej ściany przechodzę ot tak, pamiętając ją jak przez mgłę. Droga *Foil* jest trudniejsza i bardziej stroma od pozostałych. Przeszedłem ją dobrych kilka lat temu i wówczas był to prawdziwy przełom w moim wspinaniu, moje pierwsze E3. Rozpacзлиwa wspinaczka, wyťažająca i pompująca, kończąca się dobrą rysą – oazą bezpieczeństwa, która pozwala na dobrą asekurację. Dzisiaj, bez żadnego ubezpieczenia, wydaje się już tylko wymagająca.

Pod koniec odcinka w rysie, trzydzieści metrów nad ziemią, docieram do najtrudniejszej sekwencji na drodze. Żeby wyjść ze skalnej pętwy, trzeba wykonać długi, parametryczny⁸ ruch i użyć czystej siły, by dostać się do dobrego chwytu daleko w górze. Łapię ją – jest ruchoma, drga pod naporem dłoni. Skała jest pionowa, a muszę powierzyć cały ciężar ciała temu jednemu chwytowi, by móc sięgnąć tak wysoko, jak trzeba. Siła, której powinienem użyć, z pewnością wyrwie tę pętlę. Wiem, co się wtedy stanie.

Nie mogę zejść po chwytach, po których się tu dostałem. Nie ma odwrotu. Czuję, jak kwas mlekowy nabija mi przedramiona – to pierwsza oznaka zmęczenia mięśni. Muszę wykonać jakiś ruch. Postanawiam wyrwać ruszającą się skalną pętlę, a jeśli to się nie uda, uznać, że w takim razie jest wystarczająco solidna. Kilukrotnie uderzam w nią pięścią prawej dłoni. Wibruje jeszcze bardziej, ale nadal trzyma. Nie ma innej możliwości. Włączam instynkt przetrwania: jestem opanowany i obojętny. Trzymając się pętwy, robię „rowerek” stopami

4 Stawanie na tarcie – element techniki poruszania się na słabo urzeźbionej, niemal pozbawionej naturalnych stopni skale. Technika ta rozwinęła się dzięki wynalezieniu butów wspinaczkowych ze specjalną podeszwą wykonaną z materiałów o wysokim stopniu przyczepności.

5 Mowa o drodze w stopniu V Diff (Very Difficult).

6 Na żywca (żarg. środ.) – bez asekuracji.

7 Czujna sekwencja (żarg. środ.) – ciąg następujących po sobie ruchów do wykonania podczas wspinania, wymagających większej niż zazwyczaj precyzji.

8 Parametryczny ruch (żarg. środ.) – ruch wymagający odpowiedniego parametru, czyli wzrostu, długości ramion itp.

po ścianie, nadając ciału rozpęd, by osiągnąć możliwie najwyżej. Robię głęboki wdech i zawisam całym ciężarem na niepewnym chwycie. Nie rusza się. Łapię się dobrych klamek powyżej. Gdy śpiesznie pokonuję łatwy odcinek drogi do krawędzi ściany, przepełnia mnie radość i... uczucie ulgi.

Na szczycie skalnego urwiska stwierdzam, że na dziś mam dość, ale już chwilę później ląduję znów u stóp skalnego zacięcia. Najtrudniejsza droga w tym miejscu to linia niedawno wytyczona przez Rona Fawcetta, *Lord of the Flies* (*Władca Much*). Poprowadziłem ją w zeszłym roku. Przejście jej bez asekuracji leży na granicy moich fizycznych możliwości. Na prawo od *Władcy* znajduje się klasyk wszech czasów stopnia E5 o nazwie *Right Wall*, wytyczony przez Pete'a Liveseya. W 1974 roku była to najtrudniejsza droga w kraju – pionowa, z długimi, bardzo trudnymi odcinkami po bardzo małych chwytach. Pokonuję je bez mrugnienia okiem. Wysoko w ścianie sięgam do maleńkiego, tkwiącego w skale kruche go odłupania, przypominającego strukturą wafelek od lodu. Odnoszę wrażenie, że jest ruchomy, być może po doświadczeniu na *Foil*. Czy powinienem zaufać, że utrzyma mój ciężar? Naprawdę się poruszył? Odpowiadam sobie, że nie. Zapinam na nim – na malutkiej, kruchej, ostrej jak żyłetka krawędce – opuszki palców obu dłoni i zwieszam się, całym ciężarem, ponad trzydzieści metrów nad ziemią, sam w środku tygodnia, w ścianie, gdzieś w Walii.

Wtedy ogarnia mnie uczucie najbardziej nieprawdopodobnej euforii. Liczy się tylko tu i teraz. Czuję, że wszystko mam pod kontrolą, jestem szczęśliwy i zrelaksowany. Wszystko jest doskonałe. Oczywiście, że chwyt mnie utrzyma, bo to moje przeznaczenie. Powinienem zapamiętać ten moment na zawsze. Podciągam się pewnie na subtelnej krawędce, sięgam do lepszych, bardziej litych chwytów powyżej i gładko zmierzam do topu. Choć mam dopiero dwadzieścia lat, wiem, że przeżywam właśnie jeden z moich wielkich dni.

Dwadzieścia pięć lat później nadal mam w pamięci każdy drobiazg, każdą emocję, której wówczas doświadczyłem. Wszystko wskazuje, że do pewnej chwili podążałem wytyczoną ścieżką. Miałem cudowne dzieciństwo. Wychowywałem się na wsi. Z rodzicami i dwojgiem braci byłem bardzo zżyty. W szkole może i męczyłem się ze wszystkimi przedmiotami, ale cieszył mnie sport i odnosiłem w nim sukcesy. Ot, wiodłem najzwyczajniejsze w świecie życie. I nagle, gdy miałem piętnaście lat, ktoś zabrał mnie w skały i nic już nie było takie jak dawniej.

ROZDZIAŁ 1. PIERWSZE KROKI

Panna Pyper wyrzuciła mnie z klasy. Znow byłem niegrzeczny – kazała mi wyjść na korytarz i stanąć w kącie. Słońce przeświecało przez okna, promienie załamywały się na szybach. Przypomniało mi się, gdzie stoi drewniana skrzynia z zabawkami, które znosiliśmy do szkoły. Zza drzwi dobiegały głosy innych dzieci recytujących jakąś wyliczankę. Chciałem być tam z nimi, robić to, co one, ale wiedziałem, że niewiele bym z tego pojął. Rzadko rozumiałem szkolne zadania. Spojrzałem na drewniany, ułożony w szachownicę parkiet i zacząłem chodzić po korytarzu w tę i z powrotem, stawiając stopy pod kątem, próbując nie nadeptać na linie pomiędzy klepkami.

„Nie chciałem, żeby pani mnie wyrzuciła” – pomyślałem. „Żałuję, że byłem niegrzeczny. Szkoda, że tak niewiele rozumiem”. Taka prawda – po prostu nie nadążałem.

Dorastałem na przedmieściach Leicester, w Bushby. Mieszkaliśmy w domostwie przekształconym z dużej farmy: mama, tata, mój starszy brat Simon i młodszy, Toby, oraz ja. Wieś otaczały pola uprawne, lasy i strumienie, a ja uwielbiałem wałęsać się po okolicy. Od czwartego do ósmego roku życia chodziłem do Duncairn Kindergarten. Na każde Boże Narodzenie placówka

przysyłała rodzicom raporty z postępów w nauce. Mam je do dzisiaj i stanowią fascynującą lekturę.

„Jeremy nadal jest bardzo dziecinny. Wulkan energii!” – donosił pierwszy, ze Świąt 1987 roku. Opinie o mnie nigdy zresztą nie uległy znaczącej poprawie. „Nadal nie mogę poinformować Państwa o postępach syna. Musimy mieć nadzieję, że chłopiec wkrótce wykaże jakieś zainteresowanie nauką. Jest jednak zawsze zadowolony i uśmiechnięty, rówieśnicy go lubią”.

Czasem pojawiały się światełka w tunelu: „W końcu można zauważyć zmianę, choć Jeremy z trudnością zapamiętuje to, czego się nauczył”.

Roznosząca mnie energia często była źródłem problemów, co znajdowało wyraz sprawozdaniach: „Z wielu powodów – udany semestr, ale zachowanie Jeremiego nadal często jest nie do opanowania”.

Niekiedy nauczyciel zdawał się tracić nadzieję: „Jeremy usilnie stara się dorównać rówieśnikom, ale jego wyniki nadal są niezadowolające. Zdaje się pamiętać coś przez pewien czas, a potem cała wiedza gdzieś ulatuje”.

Byłem bardzo popularny wśród rówieśników, wypadałem dobrze w grach ruchowych i na zajęciach plastycznych. Najważniejsze, że świetnie się bawiłem. Jednak cenzurki dowodziły niepokojącego braku postępów w nauce. Panna Pyper bardzo starała się zagonić mnie do książek i rozbudzić głód wiedzy, ale ostateczna ocena szkoły z Wielkanocy 1971 roku nie pozostawiała złudzeń.

„Biorąc pod uwagę nakład pracy i podjęte starania, żeby pomóc Jeremiu, rozczarowuje to, że nie osiągnął lepszych wyników. Życzymy mu wszystkiego, co najlepsze, i mamy nadzieję na gruntowną zmianę, która zaowocuje pożądanymi rezultatami”.

Po Duncairn uczęszczałem do Stoneygate, tradycyjnej, prywatnej szkoły podstawowej dla chłopców. Pamiętam, jak przed pierwszym wyjściem mama pomagała mi się ubrać. Musiałem założyć szarą marynarkę z emblematem szkoły, spodenki i białą koszulę z czerwonym krawatem. Do tego parę skórzanych, czarnych butów, które kazano mi czyścić, aż będą lśniły. Rodzice podwieźli mnie pod bramę i poszedłem w kierunku dużego holu, gdzie miała miejsce zbiórka. Dzieci siedziały w rzędach w całkowitym milczeniu i wszystkie wydawały się mieć nieskazitelne maniery. Czułem się onieśmielony przez tych chłopców, szczególnie starszych, ale ekscytowało mnie, że do tej samej szkoły chodził Simon, mój starszy o piętnaście miesięcy brat. Byłem w niego zapatrzony: nie tylko radził sobie świetnie w sporcie, ale miał przy tym głowę na karku. Wszystkie dzieciaki marzyły o tym, by być właśnie takim Simonem.

W Stoneygate czułem się dobrze, ale do nauki było więcej teorii niż w Duncairn i już w pierwszym semestrze okazało się, że wszystkie przedmioty sprawiały mi trudność. W żadnym nie byłem choćby dobry. Przykładałem się do lekcji, tak w szkole, jak i w domu, ale wyglądało na to, że nie jestem w stanie pojąć, co do mnie mówią nauczyciele. Pod koniec pierwszego roku odbyły się egzaminy. Wypadłem najgorzej z klasy. Moi rodzice zostali wezwani do szkoły i wspólnie z nauczycielami ustalili, że będę powtarzał pierwszy rok, żeby sprawdzić, czy przyswoję materiał, ucząc się go w kolejnym podejściu. Minęło kolejne dwanaście miesięcy. Powtórzyłem egzaminy. Tym razem czułem ogromną ulgę, że osiągnąłem wynik drugi od końca. Ktoś był ode mnie gorszy. Pewnego dnia w czasie wakacji siedziałem w domu i usłyszałem dyskusję rodziców. Zawołali mnie i powiedzieli, że zamienili słówko z dyrektorem szkoły.

— W szkole sądzą, że lepiej będzie, jeśli ją opuścisz — oznajmiła mama.

Byłem zdruzgotany. Nie chciałem zmieniać miejsca. To była szkoła moja i Simona. Chciałem w niej zostać razem z nim.

— Wiemy, że to nie dlatego, że jesteś nieposłuszny. Oboje z tatą zdajemy sobie sprawę, jak ciężko pracowałeś. Staraliśmy się dać z siebie wszystko, ale uważamy, że najlepiej będzie, jeśli przeniesiemy cię do publicznej szkoły w pobliżu domu.

Stoneygate była placówką dla tych mierzących wysoko, a ja zawodziłem w opanowaniu podstaw. Nie było mowy, żebym mógł tam kontynuować naukę. Zostałem zatem posłany do podstawówki w naszej wsi, parę kroków od domu. Nie wymagała tak dużo jak Stoneygate i wraz z innymi chłopcami przechodziłem z klasy do klasy, aż ukończyłem jedenaście lat. Jednak i tutaj nie radziłem sobie dobrze. Zastanawiałem się, co ze mną jest nie tak. Jak to możliwe, że wszyscy inni mogą się tego wszystkiego nauczyć, a ja nie? Pamiętam, jak siedziałem na lekcjach przyrody i nauczyciel trajkotał coś w klasie. „Co to za niezrozumiały język?” — nie miałem pojęcia, o czym mówi. Zajmowałem miejsce z tyłu i wygłupiałem się przed dziewczynami, starając się je rozśmieszyć.

W tamtych czasach w kółko oblewałem egzaminy i zawsze byłem ostatni w klasie. Czyniłem beznadziejne wysiłki, by się poprawić, ale w efekcie zostawałem sam z przeświadczeniem, że coś jest ze mną nie w porządku. W tak młodym wieku już dostrzegałem, jak maleją moje szanse. Byłem świadomy, co znaczy nie radzić sobie z egzaminami, nie móc zdobyć kwalifikacji. Czułem, że brak mi czegoś, co mają wszyscy inni. Lata później, gdy już odkryłem swoją pasję, zaczęło do mnie docierać, że wspinięcie było tym, co zawsze chciałem robić. Ale gdy wracam myślami do tamtego czasu, wiem, że gdybym mógł machnąć

różdżką i wszystko zmienić, życzyłbym sobie być zwyczajnym dzieckiem, mieć takie same zdolności i możliwości, jak wszyscy dookoła.

Nie chciałem być wykluczony z klasy.

Aby do tego nie dopuścić, rzuciłem się w sport. Chociaż na lekcjach nie mogłem stać się lepszy niż byłem, to w grze w piłkę albo na bieżni, gdy naprawdę się postarałem, mogłem poprawiać wyniki. Nie zapomnę myśli, która urodziła się wówczas w mojej głowie: „W porządku, możecie sobie być ode mnie mądrzejsi, ale nie wygracie tego biegu, nie dogonicie mnie, gdy będę wam uciekał z piłką”. I tak było.

Całe szczęście, że miałem bardzo wyrozumiałych rodziców. Mój ojciec był dyrektorem finansowym przedsiębiorstwa, a mama pielęgniarką, która później wyspecjalizowała się w opiece paliatywnej. Oboje osiągnęli sukces zawodowy i byli bardzo dobrze wykształceni. Tata ukończył King's College w Canterbury a mama Cheltenham Ladies' College. W swoim czasie były to dwie najlepsze szkoły w kraju. Oboje przywiązywali wagę do wykształcenia i chcieli, żebym też je zdobył. Mama dobrze pamiętała o swoim przeświadczeniu, że będę najbardziej błyskotliwym dzieckiem w rodzinie, bo zacząłem mówić i rysować jako bardzo mały brzdąc, ale w kolejnych latach w Duncairn i potem w Stoneygate troska rodziców o moją edukację rosła coraz bardziej. W szkolnych latach rodzice poddawali mnie najróżniejszym testom, chcąc sprawdzić, dlaczego nie mogę się niczego nauczyć. Wiedzieli, że nie byłem głupi. Zaskakiwałem elokwencją i radziłem sobie w kontaktach z ludźmi, ale mimo że bardzo się starałem (o czym wiedzieli), w wieku jedenastu lat ledwie czytałem i nadal bardzo słabo pisałem. Cyfry były dla mnie niezgłębioną tajemnicą. Pod koniec nauki w szkole podstawowej specjalista powiedział mamie, że mam dysleksję. W tamtym czasie dopiero zaczęto ją diagnozować u dzieci i myślę, że moi rodzice poczuli wielką ulgę, gdy w końcu usłyszeli jakieś wytłumaczenie.

Zawsze uważałem, że z powodu słabych wyników w nauce mam jakąś ukrytą wadę. Towarzyszyło mi przekonanie, że coś jest nie tak, że nie jestem w pełni normalny. Że jestem gorszy. Diagnoza nie znaczyła dla mnie wiele i z nikim nie dzieliłem się przemyśleniami na własny temat. Może po prostu byłem tępy? Równocześnie wiedziałem, że owszem, mam kiepską pamięć, ale tylko do określonych rzeczy – zwłaszcza tych abstrakcyjnych, teoretycznych, naukowych. Gdyby ktoś zapytał, ile palców mieści się w kluczowym chwycie na drodze, którą przeszedłem w 1978 roku, odpowiedziałbym bez wahania. Gdyby chciał się dowiedzieć, jakiego rozmiaru kości użyć w rysie tuż przed końcem linii *Profit of Doom* na Cubar Edge, również nie miałbym problemów

z odpowiedzią. Wciąż jeszcze mógłbym opisać każdy przechwyt i stopień na pokonanej przeze mnie w 1987 roku prawie pięćdziesięciometrowej drodze w przewieszeniu, w Południowej Francji. Ale dla ludzi tego typu rzeczy nie są dowodem na inteligencję.

Bruce Lee powiedział, że wiedza jest zdolnością do zapamiętywania rzeczy, i myślę, że to prawda. Moja mama jest bardzo odczytana i wydaje mi się, że potrafi zapamiętać wszystko, co przeczytała. Niektórzy pamiętają wszystko, czego się nauczyli w szkole. Nigdy nie muszą niczego powtarzać i śmigają jak burza przez egzaminy. Są postrzegani jako ci superzdolni. Tak naprawdę mają szczęście, bo zostali obdarowani dobrą pamięcią do tego, czego wymaga się w trakcie nauki. To niekoniecznie znaczy, że są mądrzejsi od tych, którzy tej wiedzy nie pamiętają – lub nie mogą zapamiętać.

Odkąd zdiagnozowano u mnie dysleksję, moi rodzice poszukiwali metod, jak mi pomóc. Usłyszeli o szkole zwanej Eddington, na przedmieściach Glastonbury w Sommerset, szmat drogi od domu. Miała to być pierwsza w kraju szkoła specjalna dla dyslektyków. Złożyli podanie o miejsce dla mnie i zostałem do niej przyjęty jako pierwszy uczeń. We wrześniu mama zawiozła mnie, pokonując ponad trzysta kilometrów, do szkoły z internatem w Glastonbury. Wysadziła z auta, powiedziała „do widzenia” i rozplakała się. Później przyznała, że przepłakała całą drogę powrotną.

A ja pokochałem Eddington. W starej szkole w Bushby było nas w klasie prawie trzydzieścioro dzieciaków. W nowym miejscu – czterech do pięciu chłopaków. Uczono nas matematyki i angielskiego w bardzo nowoczesny sposób i koniec końców mogliśmy zrozumieć, o co chodzi. Wszystko wprowadzano powoli, nikt nie zostawał w tyle. Spędziłem w Eddington dwa lata i w tym czasie znacznie poprawiło się moje poczucie własnej wartości. Przy tym uwielbiałem internat, zaprzyjaźniłem się ze wszystkimi chłopakami. Jako że sama placówka nie została powołana z myślą o najlepszych wynikach z egzaminów, mogliśmy swobodnie skoncentrować się na uprawianiu sportu. Dyrektor kiedyś grał w reprezentacji Sommerset w drużynie krykieta, zatem i my regularnie go trenowaliśmy. Osiągałem świetne wyniki w biegach przełajowych, ale największą miłością zapałałem do rugby. Dzięki zajęciom sportowym z jednej strony i nabywaniu pewności siebie w procesie nauki z drugiej – Eddington okazało się dla mnie świetnym doświadczeniem.

Po dwóch latach w Eddington zostałem posłany do St David's College, szkoły z internatem w Północnej Walii, która miała specjalny oddział integracyjny dla dyslektyków i, jak w poprzednim miejscu, bogatą ofertę zajęć sportowych.

Niewielu uczniów uzyskiwało tu celujące oceny z egzaminów, ale otrzymywali rzetelne wykształcenie. Ponieważ wybrano mnie do reprezentacji szkoły w biegach przełajowych, skończyło się na tym, że dużo biegałem. Ustanowiłem nowy rekord szkoły i zdobyłem mistrzostwo hrabstwa w zawodach międzyszkolnych Walii Północnej. Choć byłem w tych biegach dobry, nie lubiłem ich aż tak bardzo. Po wygranej w zawodach musiałem trenować i biegać niemal w każdy weekend, co szybko zaczęło mi ciążyć.

Rugby bawiło mnie o wiele bardziej. Grałem na pozycji młynarza⁹ i szybko awansowałem do podstawowego składu drużyny. W wieku piętnastu lat byłem najmłodszym młynarzem w historii. Szkoła przyznawała puchar w rugby graczowi, który w danym roku zajmował najwyższe miejsce w klasyfikacji generalnej, i przypadł on mnie. Uwielbiałem rozgrywać mecze i spędziłem mnóstwo weekendów na zawodach, występując przeciwko różnym okolicznym drużynom. Niestety, któreś soboty spotkaliśmy się z reprezentacją szkoły imienia Johna Brighta z Llandudno. Rozegrałem wysmienity mecz, miałem mnóstwo dobrych, indywidualnych akcji i naprawdę bardzo się starałem, ale i tak przegraliśmy. Drużyna przeciwnika wcale nie grała tak dobrze, ale mój zespół wypadł doprawdy okropnie. Ponieważ mecz był ważny, przeżyłem gorzkie rozczarowanie. Miałem żal do kolegów. Mimo że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, zespół mnie zawiodł. „Po co to wszystko?” – myślałem. „Po co grać w drużynie, skoro nie mam żadnej kontroli nad tym, czy zwyciężymy czy nie?”. Ten pojedynczy mecz pozbawił mnie złudzeń co do sportów grupowych. Zacząłem rozglądać się za indywidualną rywalizacją. Szczęśliwie dla mnie, na horyzoncie właśnie pojawiło się coś nowego.

Moim najlepszym kumplem w St David był Andrew Henry. W szkole zawiązał się klub wspinaczkowy i Andy kilka razy się wspiął.

— Wspinaczka skałkowa jest kapitalna — powiedział. — Powinieneś spróbować.

Zaprzeczyłem, mówiąc, że nie bardzo pociąga mnie pomysł wędrowania po pagórkach, a poza tym jestem tak zaangażowany w inne zajęcia sportowe, że i tak nie znalazłbym czasu. Andrew z kolegami dalej uczęszczali na zajęcia klubowe i dużo o tym opowiadali. Musiało ich to naprawdę ekscytować, bo gdy wracali ze wspinania, gadali o tym bez przerwy. Powoli zacząłem nabierać ochoty na posmakowanie tego sportu, ale wówczas Andrew i inni uprawiali go już

⁹ Zespół rugby union składa się z piętnastu zawodników, podzielonych na dwie formacje: ataku i młyna. Każdemu zawodnikowi przyporządkowany jest stosowny numer odpowiadający jego pozycji na boisku. Za formację młyna odpowiadają zawodnicy z numerami 1–8, a za atak 9–15. Noszący numer 2 młynarz to centralna postać całej formacji młyna; wraz z tzw. filarami tworzy pierwszą linię. To on odpowiada za koordynację „młyna dyktowanego” (stały element gry) i jego rozegranie.

od miesiący. Nie chciałem znowu przekonać się, że komuś innemu idzie świetnie, a ja nie daję rady, dlatego zawsze odmawiałem, gdy proponowali wspólne wyjście. W którąś sobotę miał odbyć się jakiś wyjazd wspinaczkowy. Tak się złożyło, że Andy i reszta nie mogli w nim uczestniczyć. To była moja szansa! Zapytałem szkolnego instruktora, czy mógłbym się przyłączyć. Zgodził się.

Spotkaliśmy się w sobotni poranek. Instruktor wrzucił do szkolnego minibusu poplątane liny, mnóstwo żelastwa, uprząże z powiązanych taśm, żółte kaski i wielkie buciory. Wsiadłem do środka. Zostałem poinformowany, że mamy jechać na Craig-y-Forwyn. Po dwudziestu minutach jazdy stanęliśmy na parkingu. Założyłem parę wielkich, ciężkich, skórzanych trepów, wręczono mi uprząż i linę do dźwigania. Podążyłem za panem Leversem pod górę, ścieżką wśród drzew. Nie pamiętam, jakie wtedy było moje wyobrażenie o wspinaniu. Pewnie sądziłem, że to ostry marsz po stromym zboczu, gdzie od czasu do czasu pomagasz sobie jakimś kamieniem i w ten sposób drapiesz się do góry. Ale gdy wyszliśmy zza zakrętu, zobaczyłem przed sobą ogromne, pionowe płyty z białego wapienia. Musiały mieć ze trzydzieści metrów wysokości! I wyglądały na kompletnie gładkie, pozbawione jakiegokolwiek rzeźby.

— Chyba nie myśli pan, że da się wspiąć *po tym*?

Nie wierzyłem własnym oczom.

— A właśnie, że tak — odpowiedział. — Chodź tutaj, pokażę ci, jak się posługiwać tym sprzętem.

Następnie rozłożył na zielonej trawie u podnóża skał rozmaite przedmioty z plecaka.

— Teraz poprowadzę drogę. To oznacza, że przywiążę linę do uprząży i będę się wspiął, ciągnąc ją za sobą. Będę zakładał punkty asekuracyjne w rysie i wpinał w nie linę za pomocą karabinków.

Podniósł jeden z metalowych przedmiotów w kształcie litery D, z samozatraskującym się zamkiem na jednym boku, któremu pozwolił parę razy się zamknąć. *Karabinek*. A potem uniósł pęk pętli z liny z przytwierdzonymi doń jakimiś małymi, kwadratowymi albo sześciokątnymi metalowymi główkami.

— To jest moje zabezpieczenie, a dokładniej kości, bo tak się nazywają. Wieki temu John Brown i Don Whillans do asekuracji używali zwykłych śrub, przez które przewlekali sznurek. Teraz profesjonalne kości do wspinaczki można kupić gotowe w sklepach sportowych. Zakłada się je w rysach i tkwią w nich pancernie. Te większe, o tutaj, nazywa się heksami.

Podniósł te okazańsze rozmiarem egzemplarze, takie całkiem spore metalowe bryły wielkości kubka do herbaty. Przyglądałem się i słuchałem, ale wątpię, żebym cokolwiek z tego rozumiał.

— Wsuwam je w ryse, przez pętlę przepinam karabinek i do niego wpinam linę. Lina swobodnie przechodzi sobie przez prześwit karabinków. W ten sposób na drodze zakłada się przeloty. Nadążasz za mną?

„Co on opowiada?” – pomyślałem.

— No dobra. Ja będę się wspinał, a ty będziesz mnie asekurował. Oznacza to, że będziesz wydawał mi linę, gdy będę jej potrzebował. Jeśli odpadnę od ściany, twoim zadaniem jest zablokować linę przy pomocy specjalnego przyrządu do asekuracji. Przeloty nie pozwolą mi dolecieć do ziemi. Ty stoisz na stanowisku i mnie asekurujesz, to twoje zadanie. Gdy dotrę do końca wyciągu, założę kolejne stanowisko, a ty dojdiesz do mnie, wspinając się na drugiego. Odległość pomiędzy stanowiskami to wyciąg. Po drodze zlikwidujesz przeloty, które osadziłem. Lina będzie ubezpieczała twoje przejście z góry. Nazywamy to wędką; mówimy, że będziesz szedł z górną asekuracją. Jeśli się poślizgniesz, nigdzie nie polecisz. Czy to, co mówię, ma sens?

Przytaknąłem.

— W porządku.

I poszedł w górę jakieś dwadzieścia metrów, podążając wyżłobioną w skale rysą, aż zniknął mi z oczu. Potem wychylił się zza krawędzi skały i spojrział na mnie.

— Auto! — zawołał.

Spojrzałem na niego.

— Jestem bezpieczny. Gdy krzyczę „auto!”, to znaczy, że jestem wpięty w stanowisko. Możesz wtedy przestać mnie asekurować. Następnie wciągam linę i wołam: „możesz iść!”. Wtedy szykujesz się i idziesz za mną.

Przebiegłem wzrokiem po linie przywiązanej do mojej uprząży i ginącej na stanowisku u góry. Pan Levers dał mi płytkę wielkości ciastka, z otworami. *Przyrząd do asekuracji*. W ten sposób miałem kontrolować to, jak lina pracuje między nami, gdy on szedł do góry. Lina była przełożona przez otwór i przepięta przez mój karabinek przy czerwonej uprząży z taśm. Zwróciłem uwagę wcześniej, że płytka przeszkadzała w swobodnym przeslizgiwaniu się liny, gdy pan Levers szedł w górę, dlatego teraz wypiąłem ją z karabinka, rozmontowując cały system, żeby przestał mi mącić w głowie. I tak pan Levers wyglądał, jakby nie potrzebował już asekuracji. Podszedłem pod ścianę, a mój instruktor zaczął ściągać linę do siebie. Kawałek po kawałku zwoje przesuwali

się jak wąż w górę, aż w końcu lina przy mojej uprząży napięła się sztywno. Pan Levers wychylił się i spojrzał na mnie znowu.

— Zaczynij się wspinać, jak będziesz gotowy — zawołał.

Miałem na nogach masywne, skórzane buty przeznaczone do pieszych wędrówek w lodzie i śniegu. Ważyły z tonę i nie czułem pod ich podeszwami podłoża. Nasza szkoła przyjęła za regułę, że wspinarstwo w tych monstrach przyczyni się w rezultacie do dobrej pracy stóp na stopniach, zatem tak wyposażony zaatakowałem moją pierwszą wspinaczkową drogę w życiu. Na wędkę.

Był zimny, grudniowy dzień i krew powoli zaczęła dopływać do wyziębionych dłoni. Palce mi pulsowały. Pomyślałem, że wspinarstwo jest bardzo bolesne. Wcześniej nie wiedziałem, że opuszki palców mogą tak palić z zimna.

Wspinaliśmy się jeszcze trochę i każdy kolejny skalny odcinek sprawiał mi ból. W drodze powrotnej w minibusie zapytałem pana Leversa, jak jego zdaniem mi szło.

— Wspaniale — powiedział.

— Naprawdę? Czy to były trudne drogi, proszę pana?

— No cóż — rzekł. — Pierwsza była jedną z najprostszych. VD¹⁰ w skali trudności. Druga miała S¹¹. A skończyliśmy na HS¹².

— Czy to dobrze?

— Tak, całkiem w porządku.

— Co jest po HS?

— Jeszcze masz VS¹³ i Hard VS¹⁴, a potem wchodzimy w ekstremalne trudności. E₁, E₂¹⁵ i dalej. Niezwykle wymagające, mocne rzeczy.

— Przeszedł pan jakąś z dróg o wycenie E, proszę pana?

— Nie, najtrudniejsza droga, którą przeszedłem, miała HVS.

— A jakie drogi robią chłopaki, Andrew i reszta?

— Takie VS-y.

VS? Ja zrobiłem HS. VS to raptem następny stopień. A wspinałem się przecież po raz pierwszy w życiu. W drodze do domu czułem się szczęśliwy, że inni są tylko o stopień lepsi ode mnie, a uprawiali wspinaczkę już od miesięcy. Może pójde się jeszcze gdzieś wspiąć.

10 W brytyjskiej skali trudności wspinaczkowych VD - Very Difficult - odpowiednik drogi IV w skali Kurtyki.

11 S - Severe - odpowiednik drogi o trudności V- w skali Kurtyki.

12 HS - Hard Severe - odpowiednik drogi o trudności V w skali Kurtyki.

13 VS - Very Severe - odpowiednik drogi o trudności V+ w skali Kurtyki.

14 HVS - Hard VS - odpowiednik drogi o trudności VI- w skali Kurtyki.

15 Extreme, E₁, E₂ i dalej - z takim opisem dróg miłośnicy wspinaczki w Polsce spotykają się znacznie częściej w czasopiśmie wspinaczkowych, w doniesieniach o przejściach na Wyspach. Skala E rozpoczyna się od VI w skali Kurtyki (zob. przypis 1).

W ciągu kolejnych kilku miesięcy zacząłem częściej wyjeżdżać z Andym i chłopakami. Wszyscy bardzo to lubiliśmy, choć nie udało nam się bywać w skałach co weekend. W soboty szwendaliśmy się po Llandudno, głównie po parkach rozrywki. Ale wspinanie nas kręciło. Zaczęliśmy przeglądać czasopisma wspinaczkowe, czytać o naprawdę świetnych wspinaczach, takich jak Joe Brown, Don Whillans, Ron Fawcett czy Pete Livesey oraz śledziliśmy, co robią Amerykanie. Dużo o tym rozmawialiśmy, zaczęliśmy nawet w rozmowach sięgać po żargon, który znaleźmy z prasy: „O, to było mocne. Ale *run-out*!¹⁶ A te ruchy – na totalnym odlocie!”

Po kilku miesiącach uprawiania wspinaczki, gdy przyszła wiosna i bolesny ziąb dał w końcu fory zdecydowanie przyjemniejszemu ciepłu, nabrałem większego zapału. Nie mogłem doczekać się weekendowych wypadów na Forwyn. W szkole odkryliśmy, że nasz poprzedni instruktor w ramach treningu dużo wspiął się po murach zewnętrznych szkoły. Jedna z jej długich ścian miała pomiędzy ceglami fugi, na których z powodzeniem układało się palce i dawało się albo trawersować, albo piąć w górę. My też zaczęliśmy na niej ćwiczyć, nawet nadawaliśmy takim „drogom” nazwy i wycenialiśmy ich trudność. *Dinner Table*, HVS; *Break Time*, HS; *Henry's Horror*, S. Mogliśmy spotykać się tu codziennie i ten ruch zaspokajał nasz głód wspinania, gdy nie mogliśmy pojechać na Forwyn.

W skałach zawsze wspinaliśmy się albo na drugiego, albo na wędkę¹⁷. Niektórzy chłopcy czasem coś prowadzili, zakładając własną asekurację, ale to oznaczało ryzyko długich lotów, a niekiedy i głębę. Nie widziałem w tym sensu. Czasami widywaliśmy wspinaczy pokonujących drogi w pojedynkę, solo, w ogóle bez ubezpieczania się liną, gdzie lot oznaczał pewną śmierć. Dla mnie zakrawało to na czyste szaleństwo. Powoli jednak ludzie w klubie zaczęli głosić opinię, że można mówić o zrobieniu drogi dopiero, gdy się ją poprowadziło, i że na uwagę zasługują tylko takie przejścia. Gdy ta informacja dotarła do moich uszu, chciałem zacząć pokonywać wybrane linie w taki właśnie sposób. Któregoś dnia w niewielkich skałkach niedaleko Betws-y-Coed nasz mistrz i nauczyciel wspinaczki pozwolił mi poprowadzić. Chciałem pójść na jakąś piątkę, ale zgoda była tylko na czwórkowe trudności, które wciąż budziły we mnie emocje, chociaż w moim odczuciu były zbyt łatwe. Przynajmniej zaliczyłem pierwsze prowadzenie.

¹⁶ Runout – dystans pomiędzy przelotami na drodze wspinaczkowej lub odległość wspinacza od ostatniej wpinki.

¹⁷ TR (ang. *top rope*) – wspinaczka z górną asekuracją.

W Forwyn jest taka spora, stroma rysa o nazwie *The Flue* z reputacją trudnej w swoim stopniu. Jeśli się ją poprowadziło, naprawdę miało się na koncie przejście VS, a wówczas to już naprawdę było coś. Niewiele osób mogło się tym pochwalić. Pewnego dnia, po paru tygodniach chodzenia na drugiego dróg w trudnościach HVS oraz poprowadzeniu kilku jeszcze prostszych linii, zapytałem pana Leversa, czy mogę spróbować *The Flue*. Zgodził się i dał mi trochę potrzebnego sprzętu do asekuracji. Przygotowałem się w nerwowym pośpiechu i ruszyłem w górę. Forsowałem kolejne metry i na mniej więcej dziesiątym odpiąłem od upręży masywnego hekxa, rozmiarów krowiego dzwonka. Założyłem go w rysie, wpiąłem linę i napierałem dalej. Droga biegła stromą, szeroką rysą, a skała wokół niej była mocno wyślizgana. Wcisnąłem dłonie i przedramiona głęboko do środka szczeliny, wykręcając je do bólu, żeby jak najlepiej się trzymać. Żaden z chwytów nie wydawał mi się wystarczająco dobry i z wysiłku zaczynałem tracić oddech. Wiedziałem, że muszę iść do przodu. Wyszedłem bardzo wysoko nad hekxa, ale miałem tak zmęczone ramiona, że nie mogłem się zatrzymać, by dołożyć jeszcze jakiś przelot. Walczyłem i czułem, że mogę odpaść na prawie każdym ruchu, jednak jakoś doczłapałem do końca drogi. Wywindowałem się na trawiasty szczyt skały, sapiąc przez zaschnięte gardło jak parowóz, ale triumfowałem. Zrobiłem to! Poprowadziłem *The Flue*! Przeszedłem VS! To było moje pierwsze duże osiągnięcie i początek uzależnienia.

Następnym krokiem była wyprawa w góry Snowdonii, na Przełęcz Llanberis, położoną aż godzinę jazdy ze szkoły – za daleko, by często tam bywać. Nadszedł jednak taki dzień, kiedy pan Levers oznajmił, że się tam wybieramy. Byliśmy tacy podekscytowani! Z Andrew spędziliśmy cały tydzień na wertowaniu przewodnika. Przełęcz Llanberis należała do niemal mitycznych rejonów wspinaczkowych w Wielkiej Brytanii. Joe Brown i Don Whillans się tam wspinali i właśnie na Dinas Cromlech wytyczyli kilka ze swoich najtrudniejszych dróg. Nowe pokolenie wspinaczy, jak Pete Livesey i Ron Fawcett, poszło w ich ślady i robiło to samo.

Mieliśmy wrażenie, że weekend nigdy nie nadejdzie, ale w końcu doczekaliśmy się soboty. Był piękny, słoneczny dzień i w drodze przez przełęcz wyciągaliśmy szyje, rozglądając się przez okna w poszukiwaniu ścian znanych nam ze zdjęć w czasopiśmie. Zaparkowaliśmy w przydrożnej zatoczce. Spojrzałem w górę i wysoko nad głową zobaczyłem niedającą się pomylić z niczym innym perłę Cromlech. Wyglądała niesamowicie! Dostrzegłem na niej kilka zespołów wspinaczkowych. Rozdano nam paczki z posiłkiem składającym się

z jaj ugotowanych na twardo, wieprzowiny w cieście i torebki chipsów ziemniaczanych. Siedząc przy oknie, przegryzałem to i owo i próbowałem dopasować drogi z przewodnika do tego, co widziałem. Cromlech było wyjątkowym miejscem.

— Którą drogę będziemy robić, proszę pana? — zapytałem.

— Och, nie będziemy się tutaj wspinać. Za duży tłok, a ścisk nigdy nie jest dobry. Pójdziemy tam.

Pokazał nam drugą stronę doliny. Wszyscy rzuciliśmy się do okien po przeciwnej stronie autokaru, a tam, z cienia wylaniała się ciemna, mroczna, połoga i brązowa płyta, z trawą porastającą skalne półki. Nazywała się Dinas Mot. Miny nam zrzedły.

Andrew i ja zerknęliśmy znów do przewodnika i znaleźliśmy drogę o nazwie *Lorraine*. Miała cztery wyciągi, co oznaczało, że po pokonaniu każdej długości liny będzie trzeba się zatrzymać, założyć stanowisko i z niego się asekurować, bo droga była tak długa. Skończyliśmy jeść i ruszyliśmy w stronę cienia. W miarę jak zbliżaliśmy się do podnóża ściany, ta stawała się większa, dłuższa i bardziej pionowa. Z parkingu wyglądała na stok o łagodnym nachyleniu, ale teraz, gdy stanęliśmy pod nią, prezentowała się jak prawdziwa, okazała góra. Skała wyglądała na mało urzeźbioną i bardzo stromą. Ogarnęło nas uczucie niepewności. Czy naprawdę możemy ją przejść? Zrobiło mi się sucho w ustach.

Na tym etapie Andrew ciągle wspinał się lepiej ode mnie, więc mogłem prowadzić pierwszy wyciąg za HS, podczas gdy on miał zrobić następne trzy o wyższej wycenie. Pomimo że przeszedłem *The Flue*, wiedziałem, że nie jestem gotowy do pokonania trzech długości liny w podobnych trudnościach. Droga wiodła lekko „kładącym się” odpęknięciem, a my zmagaliśmy się z nim, ciągnąc po skale wielkie buciory, wyżej i wyżej, wyciąg za wyciągiem. Ta wspinaczka z czasem stanie się jednym z moich najważniejszych wspomnień. Oto my, szesnastolatki, sami na tej ogromnej połaci skały gdzieś w górach. Nie-samowite! W naszym wyobrażeniu znaleźliśmy się na najtrudniejszej drodze świata. Gdy dotarliśmy do łatwiejszego terenu pod koniec czwartego wyciągu, czuliśmy się jak prawdziwi bohaterowie. Pokonaliśmy tę drogę. Z trudem mogliśmy w to uwierzyć.

Przez następne dni chodziłem w stanie euforii. Czułem się tak po raz pierwszy, odkąd zacząłem przygodę ze wspinaczką – jeszcze wiele dni po przejściu drogi nadal kipiałem entuzjazmem. Trzydzieści lat później wciąż jestem w stanie przywołać dreszcz towarzyszący mi tamtego pamiętnego dnia spędzonego wspólnie z Andrew Henrym. W słoneczną, majową sobotę 1979 roku na

Lloraine, na Llanberis Pass. Był to pierwszy z wielu takich dni i tamto szczególne uczucie sprawiło, że poświęciłem lwią część życia wspinaniu.

Któregoś dnia byliśmy z klubem na Forwyn. Wspinaliśmy się tam po kilku drogach na wędkę, gdy nagle jakiś chłopak krzyknął z ziemi:

— Ktoś jest na *Mojo*!

Mojo to nazwa najbardziej znanej drogi w tym rejonie, o wycenie E1. Wówczas bardzo rzadko trafiała się okazja, żeby zobaczyć kogoś w takich trudnościach, więc wszyscy poszliśmy popatrzeć. *Mojo* biegnie najpierw w zacięciu, a potem wchodzi w trzymetrowy dach. Wówczas droga ta robiła nieprawdopodobne wrażenie. Biegaliśmy w kółko pod skałą, żeby popatrzeć, bo naprawdę ktoś ją prowadził. Miał na sobie tylko dżinsowe spodnie i opaskę na głowie. Do pasa przytroczył małe woreczki z magnezją gimnastyczną – nowość, którą czołowi brytyjscy wspinacze podpatrzyli u Amerykanów. Czasopisma prowadziły burzliwe dyskusje nad kontrowersjami wokół jej używania. Tymczasem wspinacz zwiesił się na jednej ręce z krawędzi skalnego dachu, a liny, na których prowadził, majtały się swobodnie na wietrze. Nie mogliśmy odebrać od niego oczu. Powtarzaliśmy między sobą, jak to niezmiernie wygląda i jaki świetny musi być ten wspinacz. *Mojo* prezentowała się kapitalnie!

Powiedziałem do siebie: „Też ją przejdę”.

To był ostatni dzień wspinaczkowy w semestrze. Tydzień później pojechałem do domu, do Leicester, na wakacje. Lato było piękne. Zawsze pociągało mnie łowiectwo i nawet chciałem kiedyś, jak dorosnę, zostać myśliwym. Przez te dwa miesiące chodziłem na długie spacery z naszą śliczną dalmatyneką Penny i z powodzeniem polowaliśmy razem na gołębie oraz króliki, które po przyrządzeniu zjadałem.

Poza tym na zewnętrznej ścianie budynku gospodarczego stojącego naprzeciw domu przymocowałem w pewnych odległościach od siebie cztery drewniane listwy. Zaczynałem mieć obsesję na punkcie wspinania. Nie mogłem znieść myśli o spędzeniu dwóch długich miesięcy bez mojej pasji, dlatego zamierzałem ćwiczyć palce na tych szerokich listwach, a przemieszczając się między nimi, zostawiałem na ceglanej ścianie smugi od gumy z podeszew trampek. W późniejszych latach robiłem dokładnie to samo, tylko albo na mniejszych chwytach, albo na bardziej przewieszonych ścianach, żeby wytrenować siłę ramion i palców. Nazywa się to trawersowaniem i polega na wykonywaniu ruchów raczej w poziomie niż w pionie. Wszyscy wspinacze praktykują tę czynność w ramach treningu, ale ja jeszcze nie trenowałem. Dla mnie

to było wspinanie, cel sam w sobie. Kochałem każdą minutę tego wysiłku. Wykonywałem go prawie codziennie, czasem używając mniejszych, wystających z muru krawędzi cegieł, zamiast drewnianych listew. Przed końcem lata potrafiłem przejść w poprzek budynku od początku do końca po samych tylko ceglanych krawędkach. Gdy mama miała czas, namawiałem ją, żeby mnie zabierała do małego, odkrywkowego kamieniołomu zwanego Beacon Hill, tuż nieopodal domu, gdzie znajdowało się kilka krótkich dróg wspinaczkowych, albo na opuszczony most kolejowy Slawston Bridge, gdzie mogłem wymyślać sobie „problemy” podobne do tych, które robiliśmy na szkolnym murze. To było naprawdę udane lato.

W semestrze jesienym pojechaliśmy na pierwszy w sezonie klubowy wypad na Forwyn. Bez zbędnej zwłoki zawiesiłem wędkę na *Mojo*. Przywiązałem się, a nasz instruktor mnie asekurował. Błyskawicznie, bez żadnych kłopotów, pokonałem drogę. Następnie pan Levers się związał, ale odpadł i nie przeszedł *Mojo* do końca. Był pod wrażeniem moich umiejętności i bardzo się cieszył. Nie mógł uwierzyć, jak duży postęp zrobiłem w ciągu wakacji. A wszystko to dzięki trawersom na tylnej ścianie domu, od strony ogrodu. Dla mnie to było nie lada odkrycie i pozytywnie mnie zaskoczyło.

Całe lato opowiadałem rodzicom o wspinaniu i na święta dostałem od nich parę butów EB. Zaczynałem się wspinać, jak wszyscy w klubie, w ciężkich górskich buciorach. Potem przesiadłem się na trampki marki Dunlop (popularny model o nazwie Green Flash). EB to wyspecjalizowane butki wspinaczkowe: wówczas były to niebiesko-białe botki z płótna z grubą, czarną, gumową podeszwą. Nie miała bieżnika, dzięki czemu guma zacierała się na stopniach i umożliwiała stawanie krawędziami bocznymi w małych chwytach. W zasadzie EB to była jedyna dostępna wtedy na rynku marka butów wspinaczkowych. Wszyscy wspinacze nosili EB. Gdy przekartkuje się czasopismo „Mountain” albo „Craggs” z tamtych czasów, gwiazdy wspinaczki prezentują się w takich właśnie butach. EB sprawiły, że i mnie trochę łatwiej się wspiąć.

Pewnego dnia wylądowałem znów z Andrew Henrym na Craig-y-Forwyn. Gdy przygotowywałem się do wspinaczki, jeden z chłopaków z klubu nagle wybiegł zdyszany zza załomu skały. Wyglądał na spłoszonego. Zatrzymał się przy nas i z otwartymi ustami pokazał kciukiem na coś za swoimi plecami.

— To Ron Fawcett! — powiedział głośnym szeptem, a głos niemal łamał mu się z emocji.

— RON FAWCETT!

Mój Boże! Poleciliśmy za kolegą i schowaliśmy w krzakach, skąd mieliśmy dobry widok. Ron Fawcett był największą legendą brytyjskiego wspinania. Co miesiąc pojawiał się na okładkach prasy wspinaczkowej, przechodził wszystkie najtrudniejsze drogi. Patrzyliśmy z nabożeństwem. Był wysoki i chudy, miał bujną, czarną czuprynę i wąsy. Teraz wspinał się na *Great Wall*, najgłośniejszym i najtrudniejszym klasyku na tej ścianie. Próbowałem go przejść na wędkę za każdym razem, gdy tu przyjeżdżaliśmy, i jak dotąd nie umiałem pokonać w ciągu, bez odpadnięcia. Ron przyjechał tu z swoją dziewczyną, śliczną Gill. Z łatwością poruszał się w startowej rysie. Stąd droga trawersowała na prawo do palczastej, małej dziurki, z której trzeba było pociągnąć, stojąc na naprawdę kiepskich stopniach. Ruch jest rozpaczliwy. To kluczowe miejsce na tej drodze. Byłem ciekaw, czy Ron będzie w stanie zrobić je za pierwszym razem. Bez trudu przeszedł trawers i dotarł do dziurki. Tu puścił jedną rękę i zanurzył głęboko w woreczku z magnezją. Spojrzał na Gill i powoli, z typowym akcentem z Yorkshire zawołał:

— Aye, Gill, kochanie, co mamy dziś na kolację?

„Święty Boże!” — pomyśleliśmy wszyscy. „On tam, w górze robi właśnie jedną z najtrudniejszych dróg na tej skale i zastanawia się, co ma ochotę zjeść wieczorem. Niesamowite!”

Musieliśmy wycofać się z powrotem za załom skalny, żeby ochłonać. Gadałiśmy, jakie to Ron ma wielkie barki, na jakiego byka wygląda i jaki jest wysoki. Postanowiłem, że spróbuję przejść na wędkę *Great Wall*. Zebrałem sprzęt i poszedłem pod drogę.

Widziałem już kiedyś Rona Fawcetta. Ubiegłego lata wspinałem się na Dinas Cromlech. Dla mnie to był wielki dzień – poprowadziłem pierwsze w życiu HVS, *Ivy Sepulchre*. W tym samym czasie ekipa filmowa kręciła ujęcia z pierwszego przejścia *Władcy much* z Ronem w roli głównej. Wówczas była to jedna z najtrudniejszych dróg na Wyspach, wymagająca siłowego i odważnego wspinania po prawej ścianie Cenotaph Corner. Ron doszedł do końca, następnie schodził ścieżką, którą obchodziło się prawą część ściany. Tymczasem ja właśnie prawie odpadłem w kluczowych trudnościach *Ivy Sepulchre*, ale tuż przed obciążeniem liny zdołałem przyłapać następny chwyt i jakoś się na nim utrzymać. Udało mi się przewalczyć trudności i dotrzeć do łatwiejszego terenu niedaleko topu. Gdy tego dokonałem, rozejrzałem się wokół. Jakieś sto metrów dalej, na skalistym zboczu pode mną, rozpoznałem charakterystyczną sylwetkę Rona. Zazwyczaj nosił jaskrawo zielone spodenki adidasa i pasujący do nich podkoszulek. Przystanął, obrócił się i spojrzał w moją stronę.

Patrzył na mnie. Ron Fawcett patrzył na MNIE. Następnie obrócił się i poszedł dalej, a ja jak na skrzydłach przebiegłem drogę do końca.

To było rok temu. A teraz na Forwyn Ron skończył *Great Wall* i zjeżdżał ze stanowiska, czyszcząc ją z przelotów. Siadł na ziemi, gdy wyłoniłem się zza skałomu, stanąłem przed nim i powiedziałem: „Cześć! ”. Odpowiedział: „Dzień dobry”. Stałem tak przed nim chwilę w milczeniu. Przyglądał mi się. Zastanawiałem się, czy rozpoznał we mnie młodego zdolniaczkę sprzed roku, pokonującego w wielkim stylu HVS na Dinas Cromlech. Raczej na to nie wyglądało.

— Och, przepraszam — rzekłem. — Czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym przeszedł się teraz na wędkę po *Great Wall*? To najtrudniejsza droga na tej ścianie i myślę sobie, że mógłbym spróbować. Jeśli jednak miałbyś coś przeciwko, odpuszczę. Tak się tylko zastanawiałem, czy dla ciebie to byłoby *ok*, gdybym jednak się wstawił...

Ron wyglądał na speszonego. Musiał pewnie się zastanawiać, po co go pytam. Wzruszył ramionami i odrzekł, że nie będzie mi robił problemów. Zawiesiłem więc linę w górnym stanowisku i spróbowałem. Udało mi się po raz pierwszy przejść *Great Wall* na wędkę bez odpadnięcia.

Ron wkrótce sobie poszedł, ale wywarł na nas tak ogromne wrażenie, że jego wspomnienie długo potem jeszcze z nami pozostało. Od tego dnia, za każdym razem, gdy przechodziliśmy trawersy na naszej małej szkolnej „ściance” i dochodziliśmy do trudności, zatrzymywaliśmy się, magnezjowaliśmy dłonie i pytaliśmy:

— To co dziś mamy na kolację?

W kolejnych miesiącach ciągle jeździłem z klubem wspinaczkowym na Forwyn i zazwyczaj towarzyszył mi Andrew. Wyprawiliśmy się nawet na wspinaczkową przygodę na Millstone, skałę w Peak District, na przedmieściach Sheffield. Złapaliśmy okazję pod dom rodzinny Andrew, niedaleko Macclesfield, a stamtąd pojechaliśmy dalej na jego skuterze. Rozbiliśmy namiot tuż pod skałami i trochę się powspinaliśmy. Dla oszczędności czasu już drugiego dnia, po ukończeniu wspinaczki, zszedłem po łatwej drodze bez asekuracji, by nie musieć obchodzić ścieżką skały z drugiej strony w celu znalezienia się z powrotem na ziemi. Powiedziałem Andrew, żeby też tak zrobił. Zawahał się w połowie, ale zdopingowałem go do kontynuowania zejścia. Zrobił jeszcze kilka ruchów, poślizgnął się i w rezultacie złamał kostkę. Bardzo typowe dla Andrew. Z dwóch powodów: zawsze był szczególnie podatny na wypadki i równie często dawał się namówić do zrobienia czegoś, do czego sam nie

miał przekonania. Tę drugą jego cechą naprawdę bardzo lubiłem. Andrew podobny był przez to do mojego młodszego brata, Toby'ego. Dzielili zresztą coś jeszcze – tę samą datę urodzin, 29 października. A w późniejszym życiu obaj mieli zamiłowanie do ogrodnictwa.

Toby znalazł się w St David's rok po mnie i jego kariera szkolna nie różniła się od mojej. Simon, nasz starszy brat, świetnie radził sobie z nauką. Tata był wybitnym matematykiem. Liczenie przychodziło mu całkiem naturalnie. Jednak w pisaniu nie miał takiej swobody i często potrzebował wsparcia w ortografii. Mama ciągle czytała i dużo pisała. Uwielbiała to, ale z kolei gdy próbowała coś policzyć albo rozwiązać zadanie z geometrii, widać było, że się męczy. Simon odziedziczył zdolności do pisania po mamie, a po tacie smykałkę do matematyki. Dostał to, co najlepsze z obu światów. Mnie zostały resztki. Matematyka po mamie i pisanie po tacie. Toby wylosował takie same karty. U niego też zdiagnozowano dysleksję i mama posłała go od razu do St David's, po części dlatego, że ja już tam byłem, a częściowo z powodu opinii, jaką cieszył się tamtejszy oddział dla dyslektyków. Możliwość sprawowania opieki nad młodszym bratem w szkolnych murach była dobrym rozwiązaniem.

Pod wieloma względami Toby miał jednak gorzej ode mnie. Urodził się z rzadką i bardzo poważną wadą serca. Odkąd przyszedł na świat, jego życie zawsze było zagrożone. Z początku tylko wyglądał niezdrowo, a mojej zatroskanej mamie lekarze ciągle powtarzali, że nie ma się czym niepokoić, bo stan syna wkrótce się poprawi. Jako że miała doświadczenie w pielęgniarstwie, nie zadowalały jej te tłumaczenia. Spędziła dużo czasu, szukając pomocy u specjalistów. Ostatecznie jeden dał jej odpowiedź: TAPVC, czyli całkowite nieprawidłowe połączenie żył płucnych. Była to bardzo skomplikowana i niebezpieczna wada serca.

Mój brat został przyjęty do London Heart Hospital, specjalizującego się w chorobach serca, wówczas wiodącego prym na świecie w tej dziedzinie. Terapia w schorzeniu Toby'ego była wtedy stosowana od niedawna i do tamtej pory nikomu z taką wadą nie udało się przeżyć. Dla moich rodziców było to bardzo ciężkie doświadczenie, ale jako dzieciak nie zdawałem sobie z tego sprawy. Pierwsze cztery lata Toby spędził w szpitalu, gdzie poddawano go różnym poważnym operacjom, podczas których chirurdzy musieli wyjąć mu serce i zastąpić je sztucznym, by zająć się tym prawdziwym. Toby przeszedł takie procedury dwukrotnie. W czasie jednej z operacji na chwilę odcięty został dopływ krwi do mózgu i w efekcie moi rodzice otrzymali informację, że brat mógł ucierpieć i że w przyszłości może wykazywać oznaki uszkodzenia

mózgu. Gdy ukończył szesnaście lat, pojawiły się u niego napady padaczkowe. Poza tym wszystko było z nim zupełnie w porządku.

Uczęszczaliśmy razem do wiejskiej szkoły, gdzie zawsze się nim opiekowałem. Nie mógł brać udziału w zajęciach sportowych, bo stan jego serca wykluczał aktywność fizyczną. Miał zupełnie inny charakter niż ja. Skromny, bezpretenjonalny, ani odrobinę natarczywy, raczej nieskłonny do rywalizacji, ale zawsze do wszystkiego chętny i zaangażowany we wszystko, co akurat się działo.

W St David's opowiedziałem mu o wspinaczce i któregoś dnia postanowił przyłączyć się do mnie, by zobaczyć, na czym to polega. Zabrałem go na Forwyn. Wytłumaczyłem, jak działa sprzęt, przymocowałem linę do jego uprzęży za pomocą karabinka i poszedłem poprowadzić dla niego drogę, osadzając na niej tylko jeden przelot. Dotarłem do topu i założyłem stanowisko.

— Auto! — zawołałem.

Wybierałem linę, aż do momentu, gdy biegła sztywno ode mnie do uprzęży Toby'ego i krzyknąłem, żeby zaczął się wspinać. Robił miarowy postęp na pierwszych dziesięciu metrach, a potem, gdy dotarł do przelotu, pod przewieszeniem zniknął mi z oczu.

— Jestem przy karabinku, co mam teraz zrobić? — zawołał.

— Musisz wypiąć karabinek z liny i iść dalej.

— OK!

Usłyszałem trzask zamka. Potem Toby przetrawersował w moją stronę i znów go zobaczyłem.

— Wypiąłem karabinek. Co teraz?

Spojrzałem w dół. Toby wypiął swój karabinek, ten u własnej uprzęży. Nie ten, co trzeba. Pokonał trawers dziesięć metrów nad ziemią kompletnie bez asekuracji, a pod nami podłoże było kamieniste. Gdyby odpadł od skały, z pewnością by się zabił, a wszystko przez to, że brat tak mu kazał.

„O nie!” – pomyślałem. „Mama mnie zabije”.

Toby spojrzał na mnie.

— Toby, wepnij karabinek z powrotem do swojej uprzęży.

— Nie mogę. Nie dosięgnę!

Miał zupełnie spokojny głos i mógłbym przysiąc, że nie miał pojęcia, w jakim znajdował się niebezpieczeństwie. W końcu udało mu się cofnąć i wpiąć do liny. Nigdy nikomu nie powiedziałem o tym, co się wtedy wydarzyło, a Toby już więcej się nie wspinał. Wtedy na ścianie zrobił coś bardzo dla siebie typowego – był ufny, jak Andrew. Niestety, przyszłość dla nich obu miała okazać się jednakowo tragiczna...

Jedną z rzeczy, których żarliwie i szaleńczo pragnąłem, było poprowadzenie nowej drogi, wspięcie się po jakiejś dziewiczej linii po raz pierwszy. Kto tego dokonał, miał prawo ją nazwać, wycenić i wysłać jej dokładny opis do zrelacjonowania przez czasopismo wspinaczkowe lub uwzględnienia w odpowiednim przewodniku. Czytałem o świeżych przejściach w piśmie „Craggs” i myślałem, jak fajnie byłoby zobaczyć utrwalone drukiem własne imię. Niedaleko szkoły znajdował się stary kamieniołom, który raz czy dwa odwiedziłem. Paskudne miejsce, nikt tam nigdy nie zaglądał. Któregoś razu udało nam się z Andrew poprowadzić tam jakąś może piątkową drogę, dotąd nigdzie nieodnotowaną. Biegła po najgorszej jakości kawałku skały. Nie posiadałem się z radości i pomimo wątpliwej urody linii, wysłałem opis tego dokonania na łamy prasy wspinaczkowej. W piśmie do wydawcy „Craggs” Geoffa Birtlesa zamieściłem nazwę drogi, jej wycenę oraz datę przejścia. Podpisałem je własnym nazwiskiem. W tamtym czasie koledzy ze szkoły wołali na mnie Jeremy, tak jak rodzice, albo krócej, Jez. *Jez Moffatt?* Nie. Nikt spośród czołowych wspinaczy nie mógłby się tak nazywać.

Jerry? Jerry Moffatt? Brzmiało zdecydowanie lepiej. Tak też się podpisałem. Wysłałem informację i miesiąc lub dwa później, gdy wyszło czasopismo, widniało w nim moje imię, tuż pod nazwą drogi. Odtąd postanowiłem zdobyć sławę jako Jerry Moffatt.

Nadal pozostawaliśmy z Andrew Henrym w zażyłej przyjaźni, ale od chwili, gdy przeszedłem *Mojo*, garnąłem się do wspinania bardziej niż on. Nie chciał jeździć w skały aż tak często. Pewnego dnia na Forwyn zauważyłem drobnego chłopaka próbującego na wędkę *Great Wall*. Był chudy i ubrany na czarno. Wyglądał bardzo młodo. Zamiast woreczka wspinaczkowego miał przytroczoną do pasa na kawałku sznurka kosmetyczkę z odrobiną magnezji. Była tak malutka, że wchodziły do niej naraz raptem dwa palce, zatem żeby zamagnezjować¹⁸ wszystkie, musiał robić to co najmniej dwukrotnie. Na *Great Wall* wziął kilka razy blok, by odpocząć na linie, ale doszedł do końca drogi. Nazywał się Andy Pollitt i wkrótce się poznaliśmy. W rzeczywistości miał tyle lat co ja, mieszkał całkiem niedaleko i był napalony jak diabli. W tamtej chwili w moim życiorysie wspinaczkowym potrzebowałem dokładnie kogoś takiego. Mielśmy razem przeżyć cudowny czas.

Już wkrótce weszło mi w nawyk spotykać się z Andym w wolne sobotnie popołudnia. Podczas gdy inni koledzy szli na miasto, ja wskakiwałem na rower

¹⁸ Zamagnezjować (żarg. środ.) – użyć magnezji.

i jechałem na Forwyn. Odległość wynosiła jakieś piętnaście kilometrów, trasa była pagórkowata, a jej pokonanie zajmowało mi godzinę i kwadrans. Musiałem być w internacie na kolację, co dawało nam niewiele ponad dwie godziny wspinania, zanim znów musiałem pedałowac z powrotem. Było warto; uwielbiałem wspinać się z Andym. Miał zapał i aż nadmiar ambicji. Mógł rzucać się na wszystko i choć nie zawsze udawało mu się dojść do końca drogi, jego determinacja robiła wrażenie.

Po kilku wspólnych wypadach na Forwyn Andy opowiedział mi o drodze, którą w jego opinii moglibyśmy przejść klasycznie. Znajdowała się nieco bliżej, na Pen Trwyn, wapiennej skałce położonej nieopodal szkoły, ale zbyt trudnej i stromej, żeby stanowić cel dla klubu wspinaczkowego. Klasyczne przejście oznaczało rezygnację ze sztucznych ułatwień. Chodziło o to, żeby nie posługiwać się sprzętem ani niczym innym jako ewentualnym chwytem lub stopniem. Gdy odcinki skalne były zbyt trudne do pokonania samą tylko siłą palców i nóg, wspinacze, zwłaszcza w latach sześćdziesiątych, odwoływali się do techniki sztucznych ułatwień. Dlatego uklasyczenie drogi budziło poklask, bo oznaczało zwykle ryzyko – wkraczanie w nieznanne „obszary ekstremalne”.

— Jest taka droga, *Mayfair*, która na pewno by nam puściła. Wygląda niesamowicie! Pojedźmy tam i spróbujmy w następną sobotę.

Andy powiedział to tak, że propozycja wydawała się rozsądna, jakby cała droga była ukłamliona¹⁹ od dołu do góry. Brzmiał, jakbyśmy mieli się zapuścić w jakiś teren najwyżej za HVS. Przystałem na to. Gdy znaleźliśmy się pod skałą tydzień później, zobaczyłem przewieszoną gładź czarnego wapienia upstrzonego białymi pasami. Nie mogłem dostrzec żadnych chwytów ani możliwej drogi do góry.

— Co myślisz, Jerry? — zapytał Andy, podchodząc do mnie.

— Andy, nie damy rady się tu wspiąć. To niemożliwe. Mam wolną sobotę, a ty zaciągasz mnie w takie miejsce!

— Chodź i nie marudź. Złap mnie.

Droga była bardziej pionowa i pozbawiona rzeźby niż wszystko, czego do tej pory próbowaliśmy. O mile świetlnie trudniejsza. Wydawała się kompletną stratą czasu i naprawdę nie widziałem szansy na to, żebyśmy ją przeszli. Czułem się zawiedziony przesadnym optymizmem Andy'ego, ale on wciąż naciskał, żeby próbować, niezależnie od moich odczuć. Związał się liną i ruszył w ścianę.

Za każdym razem, gdy dochodził do przelotu i wpinał weń linę, prosił o blok, po czym chwilę odpoczywał. Gdy tylko wychodził nieco ponad karabinek,

19 Ukłamliona – dobrze urzeźbiona, pełna pozytywnych, zaginających się chwytów.